

Przyjaciel Ludu.

Rok piąty.

No. 10.

Leszno, dnia 8. Września 1838.



Barbara Radziwiłłówna.

Barbara Radziwiłłówna słynie dotychczas jako najpiękniejsza i najlepsza wieku swego niewiasta. Jój wdzięki musiały być czarujące, kiedy niemi tak króla ująć zdołała, że tenże jój miłość przeniósł niejako nad miłość narodu. Albowiem sejm, reprezentujący cały naród, żądał koniecznie odzrucenia rzymskiej od tronu. Dawniej podaliśmy naszym czytelnikom obszernie skreślone jój życie. Dotąd rysy twarzy Barbary znane były z portretów wykonanych podług współczesnego rysunku, dochowanego w pugiłaresie Zyg. Aug. z epoki owój zapewne, kiedy jeszcze była wdową, nie królową, sądząc po ubiorze; i taki wizerunek umieściliśmy dawniej.

Parę lat temu przywiezione zostały portrety familijne Radziwiłłów z zamku nieświeskiego do Wilna dla poprawy i odnowienia; pomiędzy niemi znalazł się społeczny obraz Barbary w ubiorze królewskim: podług tego oryginału oddany jest nasz wizerunek, wyjęty z „Pamiętników o królowej Barbary p. Michała Bałłuckiego w Warsz. 1837 r.,“ których tom pierwszy dopiero wyszedł, a którego treść znajduje się w „Tygodniku literackim,“ wychodzącym w Poznaniu pod red. Wojkowskiego, w Nrze 15, 16, 17.

Ułamek z podróży po Lombardyi

przez
Adama Gorczyńskiego.

(Wyjęty ze Słowianina z r. 1837.)

Miesiąc kwiecień był w drugiej połowie, kiedy opuszczaliśmy Medyolan, dążąc ku stronie zachodniej, ku Alpom, które w długim biegu się rzedzie, niby to grono siedzących senatorów rzymskich, z siwemi brodami i czołem siwem. U ich podnóża ścielą się równiny długie, rozległe, zielone, młode i świeże, jak powab dzieciwicy, a wystrojone, jak oblubienica do ślubu.

Miesiąc językiem Polaka miesiącem kwiatów nazwany, rozsła po naszej krainie wiatry, wiejące przecuciem bliskiej wiosny. W szczęśliwej krainie Lombardów jest miesiącem kłosów, najbujniejszego roślin życia, a słońce kwietniowe już promienia swego ogniem przetapia wół kwiatu na cukier pomarańczy, a w gnieździe, z pęków liści ubitym, wygrzewa już owoce wonne i słodkie.

Na lewicy i prawicy gościńca, pod baldachimem gałęzi morwowych, kołysały się fale kłosów pszenicznych i żytnich, lecz winna macica czołgała się jeszcze nisko, objawwszy ramionami stopę drzewa. Z Medyolanu pierwszym wyjechał rankiem; ranek to był włoski, świeży, jasny, szkarłatny; słońca jeszcze nie było. Na niebiosach czerwieniło się zorze, i mniemałbyś, że to ziemia z łona kwiatów swoich wysła do nieba te rumieńce, te wonie. — Obłoczki cienkie, przezroczyste, stały nieruchome, uzerwienionem czołem patrząc w słońce, którego ziemia nie widziała jeszcze, i czekając na wschód onegoż; bo skoro wstało, rozprysły się w powietrzu i znikły, a król złotego światła płynął sam po błękitach i śmiał się do ziemi i promieniem całował usta moje.

Podróż szła szybko; dwóch żandarmów, których ubiór i wesołość przypominały żołnierzy Napoleona, towarzyszyło nam w tej podróży konno, ubezpieczając nasze pulesy. Zuchwałość albowiem rozbójników, często do tego posuwała się stopnia, iż w bliskości stolicy, w obliczu licznej załogi, w dzienniej nawet porze, niewzdrygali się napadać i okradać przejeżdżających tą okolicą podróżnych.

O południu stanęliśmy w *Sestokalende*, już u podnóża Alpów; w mieście, będącej portem jeziora *Lago maggiore*; okręt parowy, przebiegający codziennie całą obszernego jeziora od końca do końca przestrzeni, już czekał na podróżnych. Dźwięk dzwonka dał hasło do odbicia; odpłynęliśmy; a wkrótce *Sestokalende* usuwając się nam z oczu, utonęło w niebieskich wodach, białą wieżycy strzałą wystając jeszcze długo z wód powierzchni.

Jezioro zrazu wąskie, potem rozsuwa się szeroko; a im dalej płyniesz, tak z jednej jak i drugiej strony coraz wyższe wyskakują góry, ze wszech stron zamykające gładką wody powierzchnię.

Okręt, którym płynęliśmy, ochrzczony imieniem *Il Veloce*, miał kapitana Bertelli, którego tytuł *il padrone del bastimento*. Człowiek ten wzrostu wysokiego, twarz miał ogorzałą od słońca, a ponurą wargę obwijał mu wąs nastrzępiony, który rozdzielał się nad ustami, spływał i zlewał się w jedną szeroką i długą brodkę hiszpańską.

Na głowie miał czapkę aksamitną czarną, ta wierzchem zwężonym niemogąc się utrzymać, łamała się i spadała z tyłu na szyję, tłukąc mu plecy czarnym kutasem, ile razy w rozmowie głową poruszał. Ubrany był w kurtkę, materyj letniej w kratki *à la Walter Scott*; chustki nie miał na szyi. Rozwijająca się szeroko kamizelka, odsłaniała półkoszulek, starannie wykarbowany i błyszczący rzędem guzików, z których patrzyły głowy Napoleona, księcia Reichstadt i inne. Na palcach pełno pierścieni i pęk błyskotek wisiał z kieszonki zegarkowej. Ton jego mowy był poważny, dumny, uroczysty. Rozkazy, które wydawał, krótkie, w jednym zamkniętym słowie. Odpowiedzi lakoniczne. Słowem, tyle miał dumy w całej swojej postawie, ile kapitan liniowego posiada okrętu, i tyle dzikiej i nieotartej o ludzi butności, iż żeglarz wielkiego oceanu więcej jęć mieć nie może.

Towarzystwo żeglujące składało się z nas dwóch Polaków, damy włoskiej, której twarzy rozpoznać nie mogliśmy, czarnym zasłoniętą kwefem, ani posłyszeć dźwięku jęć ustek, bo zagadana przezemnie, miasto odpowiedzi, potrząsała tylko głową; było wreszcie trzech Włochów, toczących z sobą rozmowę o papieżu. Słowo *Charta*, jak tema w marzeniach waryacyi, obijało się nam nieustannie w uchu. Był i ksiądz w długim surducie, w trzewikach i trójgraniastym kapeluszu. Były nareszcie dwie niewiasty, młode i ładne, z którymi padron okrętu przez ciąg całej naszej żeglugi rozmawiał. Nachylony nad siedzącymi, jedną ręką wspierał się o poręcz pokładu, drugą przewracał błyskotki od zegarka; w rozmowie potrząsał, rzucał swoją głową, a kutas jego czarnej czapki w największym był ruchu.

W drugiej połowie okrętowego pokładu, formującą, że tak powiem, szary onegoż koniec, w gęstej zbite kupie, stało, siedziało i leżało mnóstwo męszczyzn i kufrów, kobiet i pudełek, dzieci i worków wypchanych.

Miejsce to, niby galerya w teatrze, tańsze, lecz jest mniej wygodne z tego względu, że w niem umieszczeni podróżni, nie pokryci namiotem, który nas od słońca zasłaniał, wystawieni byli na żar nieba i ognie piekielny równie, które z wnętrza okrętu zaprawione świędem węglanym buchały.

Nam było wygodnie, lubo, rokosznie; wesołość ogarnęła umysł i piosnką we włoskie wylać się chciała powietrze; zacząłem piosnkę: Nie nawidzę was próżniaki; atoli padron

przyskoczył i chwycił za ramię, rzekłszy: *non e permesso*. Resztę wrotki wcisnąłem w siebie nieukontentowany. Zacząłem się przechadzać po pokładzie i stanąłem przed żelazną poręczą, oddzielającą nas od miejsca na okręcie pośledniejszego. Już zapórę tę odchylałem, gdy oko padło na tablicę, z której wrzeszczał napis: *Non e permesso*. Niewola taka przykrą dla mnie była i nudzącą; dobywszy cygaro, skrzesalem iskry; lecz zaledwie pierwszy z ust wysączyłem dymek, ujrzałem po za sobą znowu padrona i znowu usłyszałem te słowa: *Non e permesso*. Padron był dnia 26go kwietnia 1833 r. prawdziwym moim tyranem; *assocjacyą idei* uczepliły się mojej myśli imiona Gallów, Kalligulów i t. p. Dumalem, głos dzwonka przerwał dumanie, zerwał się padron, zasyczała para kominem wypuszczona w obłoki, spoczęły dygocące koła i okręt stanął. Byliśmy naprzeciw miasta Arona, a barka czterema wiosłami pracująca, strzały lotem wysunęła się z ulicy miastowej i ku nam płynęła. Dwie niewiasty i męszczyna pomnożyli towarzystwo żeglujące. Starsza postawy wysokiej, szczupłej kibici, w rysach jej twarzy była słodycz i łagodność; młodsza ładną patrzyła twarzyczką. Lubo ubiorem nie różniły się od siebie, jednak nie trudno nam było z zachowania się wzajemnego tych niewiast, ten wyciągnął wniosek, iż starsza była panią, młodszą jej służebną. Ona pierwszy krok brała wchodząc na pokład, padron podał jej rękę, młodszą skoczyła sama. Uwagi moje nad nieznaną wynurzyłem towarzyszowi. Rozmawialiśmy głośno. Dźwięk mowy polskiej uderzył ucho nieznanomych niewiast, bo obiedwie pary ich oczu spoczęły na nas, i naszej nie uszło to uwagi, że starsza odchodząc z towarzyszką swoją na drugi pokładu koniec, przemówiła coś do niej cicho; zdawało się nam, iż francuzkim mówiły językiem i że o nas rozmawiały. Płynęliśmy dalej koło wzgórków wznoszących się nad miastem Arona, na których sterczy posąg S. Karola Boromeusza, ze spizu ulany, takiej wielkości, iż w głowie onego, jak w obszernej izbie, kilka wygodnie pomieścić się może osób, a we wnętrzu nosa można jak w krześle siedzieć.

Jezioro rozszerza się coraz więcej, i tam gdzie najszerzej rozlane, leżą owe wyspy, Boromejskimi zwane: *Isola bella*, *Superiore*, *Madre*, *Piscatori*.

Najpiękniejszą, dziwną, czarodziejską, jest *Isola bella*; ni tam domów widać, ni drzew, niby wschody gdzieś wspinające się w górę, niby ułamek amfiteatru werońskiego, niby postument na wazy, wystaje z wody, pływa po jeziorze; na stopniach tych coś stoi, czy żywy, czy marmurowy olbrzym, a obok wiązka prętów, niby pik kozackich, czarnych, wysokich, to gaik cyprysowy.

A na boku z lewicy i prawicy tej pięknej wyspy, jej siostry wysepki kąpią się, płyną

po wodzie, śmieją się do słońca domkami z białych niby kart wyrzniętymi, a w tyle za nimi wznoszą się piętrami po pięttrze góry zielone; w tych zaś załamie, gazem niebieskim obwiany wystaje *Sempion*, jeszcze w śnieżnej obłonie. Obłok wzdłuż rozciągnięty, niby wąż białym nastrzępiony puchem, przesuwiał się po jego czole i miękką przepaską je uwienczał; zaś w dole u gór podnóża rozciąga się miasto *Nitra*, dotyka i trzyma ulicą swoją, niby wyciągniętą ręką, białą ulicę sąsiedzkiego miasta, już na połę tonącego w wodzie. Płyniemy szybko, a marzącemu oku zdaje się, iż wyspy i góry biegną naprzeciw nam podróżnym, spotkać się z nami niecierpliwe. Okręt parowy przebiega jezioro w całej swój długości, a nie wstępując po drodze nigdzie, wpływa o przeznaczonej godzinie i jezioro tak regularnie obiega, iż mieszkańcy wysep i miasteczek nadbrzeżnych, ostrzeżeni o czasie, kiedy mimo przepływać będzie, wysyłają łodzie swoje naprzeciw i podają podróżnym sposobność wylądowania na każdą, którą zechcą, wyspę. Za zbliżeniem się naszym do *Isola bella*, spostrzegliśmy barkę dobiegającą do okrętu. Okręt stanął, a padron zapytał w głos: „*Azali kto „nie wysiadzie na łódkę, płynącą do wyspy?*“ My wysiedliśmy, a z nami i owe dwie niewiasty z Arona, ze starym męszczyną.

Na szczupłej umieszczeni łódce, blisko byliśmy siebie; niepojęte wewnętrzne jakieś uczucie, pociągało nas ku owej nieznanomiej. Chcieliśmy zawiązać z nią rozmowę, lecz skąpa w słowach, odpowiadała przez *oui* albo *non*; z drugiej zaś strony równie niepojętym przejęci ku tej osobie szacunkiem, nie mieliśmy serca stawać się jej natrętnymi, i przerwaliśmy rozmowę, której przeciągać widocznie ochoty nie miała.

Łódka okrążywszy wyspę, stanęła w jej małym porcie; kilkanaście marmurowych stopni zawiodło nas do oberży *Al Angelo*. Wyspa w małym swoim obrębie mieści pałac Boromeusza, kościół, mieszkanie księdza i karczmę o pięttrze. Ile domów i bram, tyle razy widać napis „*Umilitas*“ *); resztę wyspy składa ogród, w guscie czysto włoskim, gdzie więcej posągów, niż drzew; więcej różnobarbnego żwiru, niż murawy; nie z wolna wznoszące się zielone pagórki, ale marmurowe prowadzą nas wschody do miejsca najwyższego, zkad widok, ach jaki! — mam go w mojej tece. — Obiegliśmy po ogrodzie. — Stary ogrodnik wskazał nam laur, jeden z najstarszych i największych w Europie, na korze jego widać jeszcze ślady ręki Napoleona i litery *batalia*. Po zwycięstwie pod Marengo był on na tej wyspie i własną ręką rysował na korze lauru to słowo, a drzewo wiatrem poruszane spuściło bohaterowi na czoło kilka swoich zielonych listków.

*) Pokora, herb Boromeuszów.



Isola bella.

Wstęp do pałacu był nam zabroniony, z przyczyny, iż, jak burgrabia onego namienił: *Il Signior Gran Papa i Signiora Gran Mama* właśnie co przybyli, robiąc nam wszakże nadzieję, iż dnia następnego pokaże nam wszystkie pałacu osobliwości. *)

(Koniec nastąpi.)

Opis koronacyi Stan. Leszczyńskiego. **)

Dnia 4go Oktobra roku 1705, jako w dzień naznaczony do koronacyi, udał się król incognito bardzo rano na zamek z małżonką swoją, pościwszy wprzód przez trzy dni, aby się należycie do tej solennizacyi przygotował i prze-najświętszą komuniją przyjął. Gdy zaś o godzinie 10tej przed południem wszystko było gotowe, dano znać szwedzkim posłom, którzy wraz przybyli na zamek, gdzie ich z wszelką uczciwością i godnością im przynależącą przyjęto. Na dziedzińcu zastali oni batalion piechoty, przy rozwiniętych chorągwiach i odgłosie muzyki; na wschodach przyjął ich marszałek nadworny kor. Poninski, gdy wysiadali z karety; a na kilku gradusach wyżej, czekał na nich Sapieha, starosta bobrujski, który ich aż do sali gwar-

*) Między innemi widziałem obraz wystawiający wesele krakowskie na rynku weneckim, gatunek maszkarady, którą wyprawiał doża, celem uczczenia goszczącego w Wenecyi króla polskiego, pierwszego Sasa. Ubrano gondolierów w sukmany białe, niby skalnierskie, i wyczerpó krakowskiego tańca. Ten obraz zachowuje pamiątkę Polakom, z tej uwagi miłą, iż stanowi dowód, jakże onych czasów król polski miał u obcych znaczenie.

**) Wyjęty z historii życia jego, bezimiennie wydanej roku 1744.

dyi zaprowadził, gdzie półkownik od gwardyi Poniatowski, *) ich przyjął i do środka wprowadził. Tam im Sapieha, podskarbi litewski, który natenczas sprawował urząd marszałka w., wyszedł naprzeciw i wprowadził ich do pokoju króla Imci. Po skończonej audyencyi, ruszył król do kościoła ś. Jana następującym porządkiem: Naprzód widziano paziów i szlachtę, posłów szwedzkich, za którymi postępowali posłowie i wielka liczba polskiej szlachty. Tu się pokazał mieczny poznański z gołym mieczem w ręku. Potem kasztelan radziński z jabłkiem królewskim, dalej kasztelanowie, inowrocławski i lwowski, z swemi sceptrami. Sapieha, hetman w. lit. z dwoma koronami, a nakoniec podskarbi lit. Sapieha na miejscu marszałka w. kor. Przed królem szli szwedzcy posłowie Wachsztlager i Palmberg. Król Imc Stanisław był ubrany w zupełną i przepyszną zbroję, a na niej miał płaszcz purpurowy, sobolami podszyty, będąc prowadzony przez Potockiego, pisarza pol. kor. i Sapiehę, starostę bobrujskiego. Potem królowa w bardzo bogatą, srebrną materją i w nieoszacowane prawie klejnoty ubrana, a przez grafa Horna prowadzona, w asystencyi znaczniejszych dam i kawalerów dworskich, pieszo szła aż do kościoła; gdzie prosto naprzeciw wielkiemu ołtarzowi postawiono dwa trony z dwoma baldachimami, przy których warta stała. Między pierwszą ławą, a wielkim ołtarzem, stały trzy krzesła dla szwedzkich posłów, między którymi graf Horn, najpierwszy był. Nad tém miejscem jest jedno okno i pokój zamkowy,

*) Stanisław Poniatowski, wojewoda mazowiecki, ojciec króla Stanisława Augusta. Obacz Przyjaciela Ludu Nr. 44., Tom IV.



Medal na pamiątkę koronacji Stanisława Leszczyńskiego.

w którym królowie polscy zwykli mszy ś. słuchać, a teraz król szwedzki, Karól, znajdował się z grafem Piperem, z młodszym xiążęciem wirtembergskim i niektórymi innymi szwedzkimi oficerami. Naprzeciw tego miejsca postawiony był mały balkon, dla matki króla Stanisława, dla królowien i dla innych znaczniejszych dam polskich. Skoro oboje królestwo przyszli do kościoła, na gradusach tronu przyjęci byli od dwóch biskupów i tyluż innych prałatów, i wraz król do ołtarza był zaprowadzony. Królowa zaś tymczasem poszła do zakrystyi. Przed ołtarzem znajdował się arcybiskup lwowski, na krzesło siedzący, do którego biskup kamieniecki przemówił temi słowy: *Matka nasza, kościół ś., żąda, aby ten waleczny rycerz na króla obrany, mógł być ukoronowany.* Gdy potem arcybiskup zapytał: *jeżeli on godzien jest tej godności i jeśli chce zachować to, co do króla należy?* odpowiedział biskup: *ż on zaiste jest tego godzien i chce zachować to, co do króla należy.* Zatem królowi zdjęto szyszak, król ukląkł, poprzysiął, iż Pacta Conventa sacrosancte zachowa, pocałował pierścień arcybiskupi, wyznanie wiary uczynił i podczas przysięgi obie ręce na Ewangielii ś. położył. Potem arcybiskup z odkrytą głową razem z innymi duchownymi ukląkł na kolana, król zaś krzyżem padł na ziemię, gdy tymczasem litanije śpie-

wano i odmawiano inne modlitwy. Po odprawieniu onych, znowu arcybiskup usiadł na swoim krzesle, król zaś klęczał na kolanach, a z niego płaszcz i zbroję zdjęto. Arcybiskup wielkim palcem swojej prawej ręki, dłoń królewskiej prawicy, kość u łokcia i na rękę między palcami pomazał, mówiąc: *ja cię namaszczam na króla, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, amen!* Potem otarł swój wielki palec chlebem i obmył, a tymczasem biskup także chlebem i cienką chusteczką otarł króla, który zaprowadzony do zakrystyi, włożył na się białą biskupią albę, a wróciwszy nazad do ołtarza, odebrał miecz goły od arcybiskupa i oddał miecznemu kor., który włożywszy go w pochwę, przypasał do boku królewskiego; król go zaś dobył i kilka razy machnął po powietrzu, pokazując, jak onego ma zabić, a potem znowu włożył go do pochwy. Arcybiskup wsadził koronę królowi na głowę, biskupi zaś berło w prawą, a jabłko królewskie w lewą rękę dali. W takim ubiorze wstąpił król na tron, po chwili znowu udał się do ołtarza z czterema biskupami i żądał od arcybiskupa, aby i królowa ukoronowano. Późem poszło dwóch biskupów do niej i przyprowadziwszy ją przed ołtarz, ukoronowano tym samym prawie sposobem, jak króla, zakończając ceremonią śpiewaniem hymnu: *Te Deum* i tróistym wystrzałem armat i garnizonowej piechoty. Naostatek jeden z biskupów przeniósł mszał królestwu Ichmć do pocałowania, którzy potem poszli do ofiary i oddawszy każde z nich zieloną książkę pełną złota, pocałowali powtórę pierścień arcybiskupi i różne relikwie. Ztamtąd powrócili do swych tronów, słuchali mszy wielkiej, a po jej ukończeniu, komunikowali pod dwoma osobami i odebrali benedykcję z rąk arcybiskupa. Naostatek, po odprawieniu wszystkich ceremonii, marszałek koronny zawołał: *wiwat król i królowa!* co z wielkim okrzykiem po całym kościele powtórzono.

Na pamiątkę tej koronacji wybito medal, który na jednej stronie, wokół popiersia królewskiego, miał napis: *Stanisław I. król polski;* a na drugiej było słońce, ogrzewające swemi promieniami krążące pod nim stado bocianów, młodych i starych, z napisem: *Patrio sub sole salubres*, co znaczy, że szczęśliwy jest lud pod królem Piastem. Na spodzie: *Stanisław I. na króla polskiego koronowany dnia 4. Paź. 1705.*

Wspomnienia podróży, odbytej roku 1837 przez Annę Nak.....

(Dokończenie.)

Nic o Inspruku powiedzieć nie mogę; deszcz ciągle padał przez pół dnia mego w nim pobytu, znalazłam to miasto, na rzut oka puste, ale dosyć wielkie; ma zawierać godne widzenia

pomniki, których, dla lekkiej słabości, oglądać nie mogłam. Położenie tego miasta jest tak, jak wszystkich innych w górach, piękne, a rzeka Inn, już znacznie tam szeroka, ułatwia jego handlowe stosunki; bardzo dobry hotel na rynku, miły nam w tej stolicy Tyrolu odpoczynek ofiarował. Wyjechaliśmy z niej, bardzo rano w niedzielę, nie mało zastraszone opowiadaniem tamecznych mieszkańców o trudnościach drogi, szczególnie zaś o przeprawie przez ostatnią górę Adlerberg, czyli Orłą górą zwaną, która Tyrol od innej austriackiej prowincji oddziela i ostatnim zakresem naszych trudów być miała. Ale już tyle przeciwności zwalczwszy, byliśmy równie na następne przygotowane a chwalebny i miły cel naszej podróży, z dopełnieniem najświętszych obowiązków, oddalał od nas wszelką obawę. W niedzielę więc zrana, przebywszy rzekę Inn na pięknym murowanym moście, zapuściliśmy się zaraz między skały, wzdłuż bystro płynącego strumienia, a coraz wyżej pod górę jadąc, pożegnaliśmy nazawsze owe piękne miasto, w tym miejscu pod naszymi stopami szeroko się roztaczające.

Wzniosłymi się więc nad zieloną dolinę, po której kilkanaście wiosek, kościołów i kaplic w malowniczym układzie rozrzuconych było; ożywiał ją miły odgłos dzwonów, niedzielne nabożeństwo oznajmujących. Nic tak nie usposobia serca do pobożnych natchnień, jak ten dźwięk tak słodki, tak wiele w duszę lepszego życia przeczuć wprawiający; głośniejszy i ciszej kolejno odzywały się wspólne wszystkich Chrześcian do modlitwy pobudzające narzędzia; starożytna wieża, ogromnym i mnogim swych dzwonów łoskotem, tłumiła dźwięczne, małej drewnianej dzwonnicy sygnalki; dalej wśród stuletnich modrzewów i buków, posęłał ciemny smętarz do niebios odgłos swego dzwonu, jakby przebaczenia dla pogrzebionych w nim grzeszników żebrający; kilka miejskich kościołów, głoszą dalej jeszcze swe nabożeństwo, kotłami i trąbą; przy gościńcu zaś mała otwarta kapliczka, cichym dzwoneczkiem, podróżnemu łatwość do odbycia niedzielnej modlitwy wskazuje. A tak ten odgłos jednostajnie brzmiały, jedną myśl, jeden cel westchnień i nadziei, o tejże samej chwili duszom naszym udziela, modlitwa wspólnie je zasila, ożywia, spokojuje. Tak więc w Tyrolu, w Szwajcarii i w mojej zagrodzie, o jednej i tejże samej porze dusze i serca nasze, jednej i tej samej pociechy doznały, jedną i tą samą nadzieją i ufnością przejętemi się czując. Zastraszające nas o dalszej drodze wieści, nie bardzo nam się powiększonymi wydały. Skorośmy minęli sławną *Martinswand*, czyli (Marcina ścianę) ogromną masę skalistą, która między sobą, a rzeką, ciasny tylko przesmyk zostawia, i na której ki dyś cesarz niemiecki dwa dni bez pokarmu i napoju na polowaniu się zabłąkawszy, na pomoc oczekiwał;

coraz okropniejsze przyrodzenia zjawiska, odwagę naszą (t. j. odwagę trzech kobiet i dziecięcia) na ostrzejsze wystawiły próby. Odtąd rzeka Inn, którąśmy ciągle około drogi płynącą widzieli, tak łoskotliwie po skałach i kamieniach huczała, żeśmy w pojeździe głosów naszych słyszeć nie mogły, a czarne i szare skały, śniegiem napelnione przepaście i drzew iglastych lasy, cały ten kraj w okropnie dziką i przeraźliwie szczególną pustynię zamieniły.

Raz tylko widok prześlicznie na zielonem wzgórzu położonego i zamieszkałego, lubo bardzo dawnego zamku, przy połączeniu innej jakiejś rzeki z tą, która nam ciągle towarzyszyła, jego ogrodów, zwierzyńca i powiewających w otwartych oknach draperyi, tak jakby zielona *Oasis* wśród piaszczystej arabskiej puszcz, niespodzianie nas zachwyciła. Tysiące strumyków lecąc z gór, spajały się w swym biegu i tworzyły małe wodospady, które coraz niżej w jedno koryto spływawszy, po stromych kamieniach do rzeki wpadając, łoskot jej jeszcze powiększały. To panorama najpogodniejszym dniem umilone, mieliśmy pod naszymi stopami, bo droga coraz wyżej się teraz wijąc, już nam swoją okropną dzikością, wyobrażenie owego strasznego Adlerbergu, dać chciała.

Dostałyśmy się nakoniec i na tę młodszą stromych Alpów siostrę; rzetelnie wyznać muszę, że przez dwie godziny, coraz wyżej się wznosić i coraz bliżej zimy i śniegu, a to 3go Lipca się widzieć, wcale nie miłe na nieprzyzwyczajonych do tego wrażenie czyni. Żadnej przyjemności, bo nawet pięknego widoku, ta olbrzymia góra nie przedstawia; śnieżne śpiczaste jej wierzchołki, ciemno-zielone iglastych drzew cienie, i zimne, suche, a ostre powietrze, żywą chęć do prędkiego jej przebycia podróżnemu nastroją. O! jakże nam było miło, coraz niżej się spuszczać, pożegnać śniegi tej krainy; a schodząc ostrożnie z tej spadzistej góry, widzieć coraz dokładniej rozwijające się przed nami Voralbergu płaszczyzny i na dalszym widoku Szwajcarii równiny i wzgórza błogo roztoczone.

O jedności kościoła.

(Dzieło z XVIgo wieku, przez X. Piotra Skargę.)

(Ciąg dalszy.)

Czwarty znak jest kościoła Chrystusowego: sukcesya i potomstwo, apostolskim rodzajem porządnym a nierozrywany aż do naszych wieków idące. Wzięli apostołowie moc od samego Chrystusa i Boga naszego, na sprawowanie zbawienia ludzkiego, na kazania, na czynienie Sakramentów, na odpuszczanie grzechów: i to cudy pokazali. A iż po wzięciu urzędu tego, małżeństwu nie służyli, ani się godziło w duchownym zakonie cielesną sukcesyą czynić:

moc też ona z nimi umrzeć nie mogła; bo kościołby bez niej zginął: cóż się stało? kładzeniem rąk dziedzice sobie i potomki czynili, dając im tę moc, którą sami od Pana Boga mieli; i tak szło powołanie prawe na ten wielki urząd kapłański, i to znak był zawsze najpewniejszy kościoła bożego. Niechże kacerze ukazać początek i źródła kościołów swoich; niech się rozpytają w przeszłych wiekach, majali sukcesyją od początku idącą, taką, żeby pierwszy ich biskup, albo był który apostoł, albo od apostołskich mężów, którzy z apostoły trwali. Smirneński kościół ma Polikarpa, którego Jan święty postawił; rzymski ma Klimunta, którego Piotr święty. Tém się też w kościele katolickim Augustyn ś. zatrzymał, tak mówią: trzyma mię w kościele bożym wyzwanie wszystkich narodów i poważność cudu zaczęta, nadzieją uchowana, miłością rozmnożona, starożytnością utwierdzona; trzyma mię od samej stolicy Piotra apostoła, któremu owce swoje ku pasieniu Pan po zmartwychwstaniu zlecił, aż do dzisiejszego biskupstwa kapłanów, sukcesyją. Dzisiejszych kacerzy synagogi próżno się kościołem bożym pokrywają; takich ojców, z rodzaju apostołskiego, nie ukazują, ani ukazać mogą. Przeto samoślaney są ich ministrowie, sami się w urzędy, do których nic nie mają, wmiatają; sami sobie moc boską do kazania i czynienia Sakramentów przyczytują, której ani od Boga wzięli, ani jój żadnym prawdziwym cudem podeprzeć mogą, ani jój też potomstwem rodzonem i dziedzictwem wziąć mogli: ponieważ są bez ojców, bez przodków, bez tradycyi i dziedzictwa mocy raz od Chrystusa wziętej.

Nie jeden zapewne z czytelników zdziwi się mocno, że taką wymowę, takie piękne rzeczy, wyjmuję mu z książki, już przeszło od półtrzecia wiekn drukowanej, o której może ani słyżał. Tak to po szkołach uczono nas języka polskiego, tak literatury polskiej! Cóż dawano młodzieży za wzór stylu? Oto mowy Stanisława Potockiego, Szymanowskiego listy o smaku. Czy czasem nie dla tego Skarga zostawał w takiej niełasce i leżał tylko w pajęczynach bibliotek, że mowa w nim o Panu Bogu i wierze katolickiej? że byłto fanatyk, Jezuita, nie mający ani cienia filozofii i tolerancyi owego wielkiego Russa, co przy oklasku wszystkich mędrców swojego wieku, tak radził obierać sobie religiję, jak się n. p. obiera kolor sukni albo forma kapelusza? mówię ani cienia téj zawołanej tolerancyi, u której w uścich każda religia była dobra, bo w sercu każda była niczem.

Część wtóra, mająca rozdziałów 20, zawiera o greckim od jedności kościoła bożego odstąpieniu. Tu autor wskazawszy naprzód czém odszczepieństwo różne jest od heretyctwa, przebiega historyę Schizmy greckiej, aż do synodu florenckiego w roku 1438; gdzie, jak wiadomo, na powszechnym zjeździe biskupów, metropoli-

tów i patryarchów i za wolą obecnego tamże cesarza greckiego, Jana Paleologa, zapadł był akt unii, przez który kościół grecki wracał pod posłuszeństwo stolicy apostołskiej: co jednakże dla niestałości i zaślepienia Greków rychło potem w niwecz poszło. Każdy tu jasno zobaczy że jedynie hardość patryarchów carogrodzkich i duma obrażonych cesarzy wschodnich sprawiła to wielkie odszczepieństwo; że błędy i złości jego, były zawsze na wszystkich zborach kościoła potępiane; że sami sprawcy onego po wielokroć się go zarzekali, ale że nigdy w dobrem i zbawiennem wytrwać nie umieli. Porządne, jasne i zawsze przekonujące rozumowanie, podpira tu ciągle autor oczywistemi z kościelnych i świeckich dziejów dowody: w czém też nie tylko kapłańską gorliwość, jasne widzenie rzeczy i prawy rozum, lecz także niepospolitą naukę pokazuje. „A jeśli rzeką, mówi zaraz w rozdz. 2gim, innąśmy sobie głowę wszystkiego kościoła, to jest patryarchę carogrodzkiego postawili: tedy ich spytam, którą to mocą uczynić mogli? Od Boga jój przez apostoły mieć nie mogli: bo na stolicy carogrodzkiej ani Piotr ś., ani żaden apostoł nie siedział; owszem, na wtórym zborze (jako Theodoret grecki pisze) nowo-szczepioną winnicą się zowie. Nie mają jój też od żadnego powszechnego zboru, jakich Grekowie ośm liczą; bo żaden z tych ośmiu kościołowi rzymskiemu w niczém nie przyganił, ani mu téj zwierzchności, którą miał od Boga przez Piotra ś. nie odjął, ani odjąć mógł; ale raczej wszystkie te synody zgodnie papieża za pasterza wszystkiego chrześcianstwa i za głowę swoją, jako się już pokazało, wyznawali. A tak sami się carogrodzcy patryarchowie swawolnie i wszetecznie fałszywą i malowaną głową wszystkiego kościoła czynić chcieli. Co tak być może, jako gdyby ręka głową się uczynić chciała, która z przyrodzenia jest ręką. Stolica Piotra ś. prawem bożem na zwierzchności kościoła posadzona, żadnem ludzkiem prawem tracić swoich przywilejów nie może: ale jako przyrodzona głowa trwa i trwać będzie przy członkach kościoła bożego, chociaż się od niej niektóre członki na zgubę swoją odszczepiły.“

Ze wspomniony wyżej zbor florencki za Eugeniusza IV. odbyty, potępił schizmę jak najwyraźniej, a jest dla Greków tém straszniejszy, iż podparty powagą dwóch ich władz najwyższych, patryarchy carogrodzkiego i cesarza, więc nie mogąc na żaden sposób wyrokom jego zaprzeczyć, woleli go raczej ogłosić całkiem za niebyły; dla wszelkiego nawet na przyszłość w błędzie swym bezpieczeństwa, powiedzieli sobie, z osobliwszą jakąś logiką, że zborów nie mogło i nie może być więcej jak siedm, że przeto florencki, jako ósmy, już tém samem nic nie znaczy i jest żaden. Na to Skarga w prostocie i tonie staropolskim tak im (w Rozdz. 17.)

odpowiada. „Mówią, iż więcej zborów być, jedno siedm, nie może, a już ósmego niepotrzeba: to jest tego, który Greki potępia i błędy ich ukazuje i upór i nieposłuszeństwo ich odkrywa. Radby złodziej to stanowił, gdyby go usłuchano, gdy widzi, iż towarzysze jego karzą, aby wójta i burmistrza dalej nigdy nie było, żeby wolno kraść mógł, a na żadne się karanie nie oglądał. Równy jest takiemu, kto mówi, iż zborów więcej okrom siedmiu nie potrzeba. Nie widzą ci ludzie, iż ten jest koniec i ta potrzeba zborów śś., aby heretyctwo wykorzenione było, a zdrowa nauka cała została; aby się wiara roztargniona kacerstwem posilała, a zgorszenie i złe obyczaje jako złe ziele z ogrodu i winnicy bożej, wypieniane były. A ponieważ apostoł mówi, iż kacerstwa być muszą, i Zbawiciel nasz świadczący, iż zgorszenia być muszą: a jakoby to przystało nieprzyjacielem mieć, a obrony na nie nie mieć? Nigdy złodzieje i rozbójnicy nie ustają, a urząd który nas od nich broni ma ustawać? Jeśli to obiecywać i mówić kto może, iż żadne kacerstwo po siódmym zborze nie powstanie, ani się rozterków i zgorszenia w kościele bożym namnoży; tedy i to rzecz może, iż zborów więcej nie potrzeba. Co jako jest nieludzka, ale anielska, nie ziemską, ale niebieską, nie tego czasu, gdzie grzech jeszcze miejsce ma, ale onego, gdzie bezgrzeszni już zostaniem: każdy to widzi. A jako tu na wojnie pokój sobie kościół wojujący obiecywać może? Przetoż nigdy tego nieczła, którym kacerstwa i zgorszenia umarza i zabija, od boku nie odpasze.“

(Koniec nastąpi.)

Kot i myszka.

Onego czasu, pewna myszka mała,
Wyszedszy sobie pod nocy zasłoną,
Nieszczęsnym trafem kota napotkała,
I już miała być zjedzoną.
A więc krzyczy niesłychanie:
„Stój! stój! dla Boga! zatrzymaj się panie!
„Czyś ty nie jest owym kotem,
„Co się łapimyszką zowie?”
Tak jest, kot rzecze, lecz zkądże wiesz o tym?
A ta mu na to odpowie:
Przypomnij sobie, jak rok temu trzeci,
Wpadłeś tam w jakieś zastawione sieci,
Jakiś płakał i narzekał
I już pewnej śmierci czekał;
Gdy cię mysz jedna, już wickiem pochyla,
Z tej niedoli wybawiła.
Widzę ja, panie, że jej pamięć tkliwa,
Dotąd cię jeszcze rozczuła;
Otóż to, otóż, ta mysz litosiwa
Była to moja matula.
Umarła biedna, lecz tys jej zaręczał,
Że jej to bedziesz na dzieciach odwodzić;
Pomnij więc, pomnij na twe słowo kocie: —
Ach! tak jest, rzecze, cały łzami złany
Łapimyszka zasłuchany,
Zaprzysiągłem jej w istocie
Nie tylko sam was oszczędzać,

Ale i drugie koty gryść, rozpędzać,
Wszelkie odpięrać napaście.
Lecz powiedz mi, moja miła,
Ileż twa matka dziełek zostawiła?
Myszka mu na to: dwanaście. —
Dwanaście? kot zawoła; o lube istoty,
Biedne myszeczki, niewinne sieroty,
Jakże im przykro być musi bez matki!
Wszystkie przybieram za me własne dziatki,
Zwołaj je, zwołaj, niechaj je zobacze,
I z tą przybraną poznam się rodziną. —
Biegnie mysz nasza i z radości skacze,
Pędzi jak gdyby z najlepszą nowiną,
Woła na swoje siostrzyczki, braciszki;
Lecą głupie myszki;
Gdy wtem kot zdradca nagle na nie wpada
I zamiast jednej, cały tuzin zjada.

M.

Jagnię.

Małeńkie jagnię w pewnym wielkim lesie,
Płacząc i biegnąc, gdzie je rozpacz niesie,
Takim zwierzęta przyzywało głosem:
Zlitujcie się nad mym losem,
Moja dola oplakana;
Wspomóżcie biedną sierotę,
Ściągnijcie wilka nienotę;
Porwał mi matkę kochaną!
Przez wzgląd na całe rodzeństwo,
Na publiczne bezpieczeństwo,
Zbierzmy się razem, zbierzmy,
I na tyrana uderzmy. —
Zachowajcie to wspomnieniu,
Co wam żal mój przepowiada:
Zaczął na owcy, skńczy na jeleniu,
I tak nas wszystkich pozjada.
Zbiegły się zewsząd liczne zwierząt trzody,
Tkliwym nieszczęścia przywołane głosem.
Każde okropnej słuchało przygody,
Każde nad swym drżało losem.
Zając rozmyślał o swej nędzy, biedzie,
Jeleń lży ronił nad dolą zwierzęcia;
Lis burzył, dzik się srożył, mruczały niedźwiedzie,
Ale nikt nie wsparł jagnięcia.
Lecz pocóż biedne zwierzęta oskarżać,
Poco bajkę stwarzać?
By wiedzieć ciągle niewinnych nekanie,
Płonnie z przemocą zapasy,
Słyszeć daremne na bliźnich wołanie,
Potrzebaż iść w lasy?

M.

Młody dąb.

Wpółśród dębów zwalonych przez wicher straszliwy,
Wznosił się młody dąbek, rosły, ale krzywy.
Zaledwie kilka nędznych gałęzi rozwodził,
I cudem chyba kiedy jaką żołądz zrodził;
Lecz, że to nie nowina na tym świecie bywa,
Że i w kłocu niezgrabnym duma się odzywa,
Gromom więc czoło swoje stawiał z urąganiem,
Orla nawet przyzywał, aby zasiadł na niem.
Lecz orzeł tak mu rzecze: nędzny szczałtku lasów,
Duma twoja pochodzi z smutnej zmiany czasów;
Upadły pierwsze dęby, ztąd się pierwszy mniemasz,
I dla tegoś jest wielkim, że już wielkich nie masz!

M.